

Miroslaw Mrozek

Bohater charakterystyczny

Dziwnym trafem w swoich poszukiwaniach czytelniczych natrafiam ostatnio na powieści dość osobliwe, ich bohaterami są albo różnego autoramentu wariaci, których zgubiły książki, albo kretyni, którzy przemieniają się w geniuszy, by później skretynieć ostatecznie, albo nawet kosmici, którzy upodobałi sobie w swoich osiedleńczych praktykach wcale nie amerykańskie Roswell, ale Śląsk, który czasami należy do Niemiec a czasami do Polski.

I tak w trakcie ostatnich tygodni przeczytałem *Przemysłnego szlachcica Don Kichota z Manczy* we wspólnym tłumaczeniu Wojciecha Charchalisa, *Auto da fé* Eliasa Canettiego, *Kwiaty dla Algernona* Daniela Keseya oraz *Utopka* Leszka Libery.

Pisarze to jednak podli ludzie. Bierze sobie taki sadysta bogu ducha winnego hiszpańskiego szlachcica, który zamieszkuje na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku okolice Manczy. Każde ten bydlak temu niebogatemu przeciwieństwu kupować drogie i głupie książki, jakimi są romanse rycerskie, każde mu je czytać dniem i nocą, dobrze wiedząc przy tym, że czytanie (a czytanie romansów rycerskich szczególnie) wysusza rozum. Czeka ten niegodziwiec, aż kompletnie wyschły mózg naszego biednego szlachcica uzna, że stanowi część organizmu błędnego rycerza. Następnie ten intrygant wysyła naszego błędnego rycerza na poszukiwania przygód, w trakcie których to poszukiwań, czekają go upał, pragnienie, głód, bezsenność oraz niezliczone razy, guzy i rany zadane przez wrogów nasłanych przez potężnych czarnoksiężników. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby okazało się, że pod postaciami tych czarnoksiężników ukrywa się ten bezwstydnik.

Możemy próbować usprawiedliwiać tego zwyrodnialca, zakładać, że znęcał się nad naszym biednym błędnym rycerzem po to by uczynić z niego postać groteskową i wyobcowaną, dzięki której możemy spojrzeć na otaczający ją świat ze szczególnej perspektywy. Na nic jednak wszelkie próby takiego usprawiedliwiania. Zapoznanie się z narzędziami kata tym bardziej uzmysławia nam, że za ich pomocą dokonywane były tortury na niewinnej ofierze.

Po obejrzeniu *Człowieka który zabił Don Kichota* w reżyserii Terrego Gilliama dochodzę do wniosku, że filmowcy to też niezłe gnoje. W tym obrazie naszego biednego Rycerza z Manczy potraktowano bardziej niegodziwie niż zrobił to Cervantes. Oczywiście możemy próbować usprawiedliwiać Gilliama, dowodząc, że tak jak powieści Cervantesa była opowieścią o pisaniu powieści, tak film jest filmem o kręceniu filmu. Że dzięki niedolom błędnego rycerza na planie filmowym możemy przejść o poziom wyżej w stosunku do dzieła Cervantesa i dane jest nam obserwować interakcje, jakie zachodzą

między rzeczywistością, literaturą i filmem (kinematografią). Na nic jednak wszelkie usprawiedliwianie, niegodziwość pozostaje niegodziwością. Zwłaszcza, że film nie jest dziełem najbardziej udanym i z pewnym znużeniem śledziłem ponad dwugodzinne zmagania młodego reżysera, usiłującego zekranizować powieść Cervantesa. Nie był to jednak czas do końca stracony, na zawsze w pamięci pozostanie mi widok jednej z - przecinających Manczę - dróg otoczonej szpalerem wiatraków produkujących prąd.

Kiedy przebolełam krzywdy wyrządzone przez tego psychopata (Cervantesa) biednemu rycerzowi z Manczy, w moje ręce wpadła powieść *Auto da fé*, laureata Literackiej Nagrody Nobla, Eliasa Canettiego. Pisząc tę powieść Canetti trafnie przypuszczał, że psychoza jest swoistym przerysowaniem (do karykaturalnych wręcz rozmiarów) pewnych cech charakteru. Swoją drogą, literatura, jako taka, prawie zawsze przerysowuje świat, uwypukla jego niektóre (wybrane w danym dziele literackim) elementy, inne z kolei zupełnie pomija – kiedy świat jest wiernie przedstawiony, nie mamy wtedy zwykle do czynienia z dziełem literackim.

Canetti przez całą powieść wykorzystuje przewrotnie jedną z cech ludzkiej świadomości, mianowicie to, że nie jesteśmy w stanie z zupełną pewnością stwierdzić, co druga osoba myśli o nas i o świecie w ogóle. Często rzutujemy więc własne poglądy na drugą osobę. To nierzadko prowadzi do nieporozumień w realnym świecie, a w świecie powieści Canettiego tworzy tragikomiczny układ, w którym każda jednostka jest odrębnym bytem, który właściwie nie komunikuje się z innymi osobami, a jeśli już to po to, żeby coś ukryć albo wprowadzić te osoby w błąd. Tworzy to iście psychotyczny obraz świata, w którym nikomu nie można zaufać.

Głównym bohaterem powieści, profesor Kien jest postacią bardzo nietuzinkową, wystarczy powiedzieć, że żeni się ze swoją, ogólnie mówiąc, nie najładniejszą i niezbyt inteligentną gosposią z miłości... do książek. Właściwie wszystko, co robi, robi z miłości do książek. Przychodzi tutaj znowu na myśl postać innego słynnego szaleńca, który zamieszkiwał okolice Manczy, jednak w odróżnieniu od niego nasz Profesor nie chce wciąć w życie historii zawartych w książkach (beletrystykę uważa zresztą za rzecz podrzędną), on traktuje książki jako istoty żywe. Tak w prostackim skrócie można by scharakteryzować rodzaj obłądu, który dotyka Profesora.

Ciekawe jest, że na początku powieści darzymy profesora dużą sympatią, później ona słabnie, a przecież nieustannie jesteśmy świadkami krzywd wyrządzanych mu przez ludzi. Jest tak chyba dlatego, że powoli uświadamiamy sobie, że Kien w pewien sposób zasłużył na swój los. Książki traktuje

jak ludzi, natomiast ludzi traktuje jak przedmioty. Jedyne uczucie, jakie się u niego pojawia względem drugiego człowieka, to nienawiść do swojej żony, która w miarę upływu czasu przeradza się we wstręt do wszystkich kobiet chodzących ulicami miasta, które zamieszkuje, a którym prawdopodobnie jest Wiedeń.

Książka to majstersztyk językowy, Canetti sprawia, że czytelnik taki jak ja, który ma za sobą dwie psychozy, sam jest (podobnie jak bohater powieści) mołem książkowym, samotnikiem i literatem z psychodeliczną przyjemnością śledzi perypetie najwybitniejszego na świecie sinologa, jego żony, dozorczy kamienicy, chciwego króla oraz dyrektora szpitala dla wariatów.

Moje IQ przekracza 130, natomiast jeśli idzie o inteligencję emocjonalną jestem kretynem z rodzaju tych najbardziej opóźnionych. Z najnowszych badań wynika, że na nasz sukces w życiu większy wpływ ma inteligencja emocjonalna niżeli iloraz inteligencji. Oczywiście w najlepszej sytuacji znajduje się jednostka, która charakteryzuje się zarówno wysokim ilorazem inteligencji, jak i wysoką inteligencją emocjonalną – ale czy na pewno? Mówię o tym ponieważ niedawno skończyłem lekturę *Kwiatów dla Algernona* Daniela Keseya. W tej książce autor próbuje odpowiedzieć na powyższe pytanie.

Głównym bohaterem powieści Keseya jest Charlie Gordon, kretyn, którego IQ wynosi 68 punktów. Charlie ma trzydzieści dwa lata i od siedemnastu lat pracuje w piekarni. Jest przekonany o tym, że jest lubiany przez otaczających go ludzi, a jego największym marzeniem jest stać się mądrzejszym. Charlie podejmuje zresztą wysiłki w tym kierunku – w szkole dla opóźnionych umysłowo uczy się czytać i pisać, jego nauczycielką jest panna Kinnian. Ogólnie można powiedzieć, że Charlie jest w swoim życiu dosyć szczęśliwą osobą. Oczywiście jest to szczęście specyficzne, które staje się udziałem ludzi, którzy prawie nic nie wiedzą o otaczającym ich świecie oraz ludzkiej naturze.

Panna Kinnian jest pod wrażeniem tego, że Charlie pomimo tak niskiego IQ jest bardzo czysty, porządny, pracowity i przyjaźnie nastawiony do ludzi. Należy ona do zespołu, który prowadzi badania nad metodą chirurgicznego zwiększania możliwości mózgu – zwiększania inteligencji. Badania jak dotąd prowadzone były tylko na myszach, ostatnią z tych myszy jest tytułowy Algernon. Teraz przyszła pora na ludzi. Charlie z uwagi na swoją osobowość oraz bardzo niskie IQ, dzięki czemu łatwiej będzie mierzyć jego wzrost, zostaje wybrany do eksperymentu. Wyraża zgodę, chociaż nie potrafi w pełni pojąć konsekwencji, jakie wiążą się z operacją.

Narratorem powieści jest sam Charlie, który pisze swoje raporty mające dokumen-